DWÓR KRÓLA ARTURA.

Powieść. *z Hoffmanna.*

Ktokolwiek był w handlowém mieście Gdańsku, pewnie zna piękną salę kupieckich zgromadzeń, znajomą pod nazwaniem *Dworu Artura.* Około południa sprowadza tam interes niezliczone tłumy ludu różnych narodów, słychać gwar bezustanny, jak w ulu pracowitych pszczołek. Lecz, kiedy godzina handlowa przeydzie, kiedy po długich kurytarzach, łączących dwie ulice, ledwo już kilka osób uyrzysz śpiesznie przechodzących, wtedy cały gmach nabiera malowniczego wyrazu, wtedy go zwiedzać należy. Przez zaćmione okna wpadając światło, w czarowniczym rozlewa się uroku. Dziwaczne rzeźby i malowidła, zdobiące salę, zdają się ożywiać i ruszać. Królewski marmurowy posąg, wznoszący się pośrzodku, większą jeszcze w odosobnieniu przybiéra powagę. Jelenie z gałęzisténii rogami, zadyszałe i zajadłe ogary, patrzą jaśniejącym wzrokiem; mimowolnym strachem przejęty opuszczasz powieki. Wielki obraz, w którym uosobione wszystkie cnoty i występki, oznaczone łacińskiemi napisami, widocznie stracił na swojém moralném znaczeniu: bo już ledwo rozróżnisz bledniejące cnoty zpod szarey powłoki dawności obrazu, kiedy piękna kibić występków, ożywiona jaśniejącémi ubiory, jakby na przekor czasom, wabi wzrok jeszcze tak, jak w pierwszych dniach swego nastania. Zaymiesz się jeszcze ozdobnym szlakiem otaczającym salę, gdzie na złocistém tle

łudzi oko wspaniały orszak urzędników mieyskich, w czasach ich dawney świetności. Poważni burmistrzowie, ze znaczącą i rozważającą twarzą, otwierają poczet na pięknych i bogato-stroynych koniach; kotły, bębny, piszczałki i halabardnicy, postępują naprzód tak śmiałym i tak pewnym krokiem, że zdajesz się słyszeć wesołe trąby muzyki wojenney, i widzieć w przyległém obszerném oknie, jak to woysko ciągnie i wchodzi na plac wielkiego rynku. A jeśliby cię wzięła ochota odrysować tego wspaniałego burmistrza z paziem cudney piękności, siaday przy tymtu stole, co hoynie szczodrobliwością publiczną uposażony w papier, atrament i pióra, zdaje się zapraszać do zapisywania twych pamiątek i wrażeń.

— Uwiadomże, Traugocie, naszego korrespondenta w Hamburgu o teraźnieyszym stanie interesów.

Tak mówił, negocyant Elias Roos, do młodego spólnika swoich przedsięwzięć, który wkrótce już miał zaślubić jego córkę Krystynę. Ledwo znalazł Traugott mieysce na stoliku, wziął arkusz papieru, pomoczył w atrament pióro i przybierał się już do zaczęcia listu, piękném kaligraficzném zacięciem, kiedy myśląc raz jeszcze o interesie, który miał tuż wyjaśniać, rzucił okiem na sklepienie. Szczególnieyszym trafem, usiadł właśnie naprzeciw dwóch figur orszaku, które zawsze dziwne na nim czyniły wrażenie. Człowiek poważny, prawie ponury, z széroką ufryzowaną brodą, bogato ubrany, jechał na czarnym koniu, którego cugle trzymał piękny młodzieniec; długie świątłe włosy, i ubior

niepospolitey wytworności, nadawały mu pozor zniewieściały. Ułożenie i twarz jeźdźca nabawiały zawsze jakąś trwogą Traugotta; ale w rysach pazia znaydował źrzódło naypogodnieyszych wzruszeń. Nigdy nie mógł oderwać się od tey powabney twarzy, i teraz właśnie, zamiast pisania listu od P. Eliasa Roos, wpatrywał się w te dwie uroczne osoby, kréśląc w swém roztargnieniu piórkiem po papierze. Już długo tak siedział, kiedy go w tém któś zlekka uderzył po ramieniu, i zawołał cichym głosem: „Dobrze, bardzo dobrze! oto mi się podoba: to cóś będzie z czasem" odwraca się Traugott, jakby ze snu przebudzony; zdawało mu się, że go piorun uderzył; z podziwienia i przestrachu głos mu w piersiach uwiązł: uyrzał przy sobie ponurego jeźdźca, którego tylko co widział nad stropem. Obok stał piękny chłopiec, uśmiéch jego tchnął niewymówną słodyczą. Znikły w kołyszących się falach tłumu obie osoby; ale Traugott siedział na tém samém mieyscu długo jeszcze po upłynioney godzinie zgromadzeń. Już prawie pusta była sala, kiedy P. Elias Roos, rozmawiając z dwóma mężczyznami, zbliżył się do niego.

— I cóż tam robisz, kollego, tak poźno? rzecze mu. Czyżeś już przesłał list z uwiadomieniem?

Zanurzony w swych myślach Traugott oddaje mu list. Klasnął Roos w dłonie z rozpaczą. Móy Boże! móy Boże! jakież dziecińmost! niebaczny kollego! czyliż cię zły duch opętał? list wstrzymany i poczta opuszczona!

Elias Roos ledwo nie pękł z gniewu, a dway goście nie mogli wstrzymać się od śmiechu, pa-

trząc na list, który w rzeczy samey był śmiészny. Zaraz po tych słowach: „Opierając się na naszey ostatniey 20 bieżącego miesiąca" Traugott nakréślił w śmiałych zarysach owe dwie dziwne figury starca i młodzieńca. Dway goście starali się ułagodzić P. Eliasa; ale ten, przechadzając się wzdłuż i wszérz sali, ciągle powtarzał płaczliwym głosem: dziesięć tysięcy marków! wszakto mniey o dziesięć tysięcy marków!

— Uspokoy się, Panie Roos, przemówił nareszcie starszy: prawda, że już poczta odeszła, ale za godzinę wysyłam gońca do Hamburga; oddam mu pańskie listy, a tak uprzedzisz jeszcze swoich przeciwników.

P. Roos ścisnął mu rękę i siadając na mieysce Traugotta, wziął się do pisania listu. W tenczas zbliżył się starszy do Traugotta, który cały zmieszany milczał. Zdaje mi się, że W. Pan nie jesteś na swojém mieyscu, rzekł mu. Dobry negocyant nie bawiłby się rysowaniem, zamiast pisania ważnych listów.

Nie mógł zaprzeczyć Traugott, żeby ta wymówka była bezzasadną. Móy Boże, powiedział jednak, ileż to porządnych listów napisałem! Była to tylko próżna myśl, co mi zawróciła głowę.

— Sądziłbym, odpowiedział młódszy, iż żaden nie wyrówna temu, ani z taką wprawą nakréślony — mówiąc te słowa, wziął nieszczęsny list, złożył go starannie i schował do kieszeni. Zdawało się wtedy Traugottowi, że było to cóś lepszego, jak prosty list; nieznana mu dotąd pycha ogarnęła duszę, a kiedy Elias Roos składając list, który tylko co napisał, powtarzał: twoje zabawki mogłyby mię kosztować 10,000 marków,

odpowiedział: — Nie unośże się tyle kochany kollego, bo rozstaniemy się nazawsze z sobą! Z trudnością starzec mógł pogodzić poróżnionych: dopiął jednak swego, i poszedł razem z nimi, oraz ze swym młodym towarzyszem do P. Eliasa Roos, który ich był zaprosił na obiad do siebie. Panna Krystyna przyjęła gości nayuprzeymiey. Wystaw sobie, młodą dziewczynę śrzedniego wzrostu, dosyć ciała, naywięcey dwadzieści dwa lat mającą. Twarz zaokrąglona; oczy niebieskie jak dzień jaśniejące, ale nazbyt otwartey spokoyności, zdają się mówić do wszystkich: wkrótce idę za mąż! Płeć niedorównaney białości! włosy nieco w czerwonawe wpadające; same jey usta przypominają pocałunek, gęba nieco tylko przydłuższa, odkrywa parę sznurków białych jak śnieg ząbków. Spokoyność panuje we wszystkich rysach Panny Krystyny. Nie było tego nigdy, żeby się zpod jey rączek ciasto nie udało, a kiedy raczyła zająć się około sosu, tyle dokładała uwagi i trafności w utrzymaniu równych i jednostaynych obrótow swey łyżki, że nigdy nie chybiała w doprowadzeniu do przyzwoitey gęstości.

Po obiedzie P. Elias Roos miał iśdź na przechadzkę z przyjaciółmi. Napróżno jey Traugott chciał uniknąć; musiał nareszcie przystać. — Utrzymywał jeden sławny fizyk, że twórczy duch świata, ten wielki experimentalista, postawił na naszey kuli, ogromną elektryczną machinę, sypiącą na wszystkie strony pasma iskier, których ustrzedz się nie możemy, których wstrząśnienie, nagle zmienia wszystkie usposobienia naszego umysłu. Musiał bydź Traugott w ze-

tknięciu z wielką machiną, kiedy mimo swey woli rysował w sali osoby, co się niespodzianie zjawiły za jego krzesłem, i mimowolnie wszczął o nich rozmowę. Starzec miał za naygorszego smaku malowidła w sali Artura, nadewszystko orszak wojenny wydawał mu się nayśmiesznieyszą bamboszadą; z ogniem zawołał Traugott, iż mu się cały świat przed okiem rozwinął, na widok tych malowideł, że one tak żywo przemawiały do jego wyobraźni, iż odkrył w sobie tę twórczą zdolność, jaką się szczycił artysta zpod którego pędzla wyszły te utwory. Elias Roos rzucił wzrokiem podziwienia po swoim koledze, a gość przemówił z ironią: nie spodziewam się, Panie Traugott, aby ci twoje teraźnieysze zatrudnienie miało przypaśdź do smaku, i żebyś nie poświęcił twego życia sztukom, które nad wszystko, jak widać, miłujesz.

— O jakże zazdroszczę twemu talentowi! zawołał młodzieniec, ach czemuż nie mogę tak, jak ty, rysować! Nie żeby mi brakło zdolności; przerysowywam dobrze oczy, nosy i uszy, odrysowałem już nawet kilka twarzy; ale cóż! kiedy to te interesa, interesa!

— Sądziłbym, rzekł Traugott, iż odkąd się tylko czuje zdolność i prawdziwa do sztuk skłonność, odtąd nie ma w życiu innych interesów.

— I cóż, obrałbyś może powołanie artysty? odpowiedział młodzieniec. Eh! jakże możesz tak gadać! Widzisz bo, móy drogi przyjacielu, rozmyślałem ja długo i wiele w tym przedmiocie; jak namiętny miłośnik sztuki; zayrzałem głębiey w naturę rzeczy, niżbym to mógł słowami

wyrazić, i tak ledwo ci tylko napomknę moje pomysły.

Kiedy to mówił, rysy jego, pełne wyrazu, przenikliwości i rozwagi, przejęły uszanowaniem słuchacza. Zgodzisz się, rzekł daley, że sztuki rzucają tylko kwiaty na nasze życie. Rozerwanie, opuszczenie ważnieyszych interesów — oto jest luby cel, do którego dążą wszystkie usilności sztuki, cel tém pełniey osiągniony, im płody sztuki doskonalsze. Cel widocznie jest w życiu wytknięty, bo ten tylko, kto dzieli to przekonanie, używa dobrego bytu, jaki nazawsze bywa zamknięty dla tych, co sztuki piękne za nayważnieyszą uważają sprawę na ziemi. Nie daway się więc odrywać od interesów ważnieyszych, strzeż się drogi, po któreybyś szedł bez siły i wsparcia.

Struchlał na te słowa Traugott; nie wiedział, co odpowiedzieć. Wszystko, co słyszał, zdawało mu się do nieuwierzenia potworném. Przestał tylko na zapytaniu: ale cóż przecie nazywasz ważnemi, wielkiemi, interesami, na tey ziemi?

— Ależ dla Boga! musisz się przynaymniey na to zgodzić, że trzeba używać życia w życiu, a właśnie nigdy tego nie dostąpią artyści z powołania.

Z tych słów uczynił taki prawie wniosek Traugott, iż używać życia w życiu, było to nie mieć długów, mieć wiele pieniędzy, dobrze pić, dobrze jeść, postarać się o piękną żonę, i mądre dziatki, ślicznie ubrane, dzielnie trawić, smaczno spać, a nadewszystko, wystrzegać się przykrych snów.

— Jakież nędzne życie! wykrzyknął, kiedy

się samotnym uyrzał w swojey stancyi. W pięknie uzłoconych porankach naszey bogatey wiosny, kiedy lekki wietrzyk zachodni, przedziera się aż wgłąb ulic ciemnych, i zdaje się, jakby szumiąc, w słodkim języku swoim opowiadał wszystkie cuda, jakie napotkał w drodze, ulatując po łąkach i gajach, ja zataczam się niechętny w okopcone kancellaryi mury. Tam siedzą wybladli za zczerniałemi stolikami, jednostayny tylko szelest przewracanych stronic rejestru i zuchwały brzęk liczonych pieniędzy, przerywają to milczenie pracy — I jakieyże pracy! Na co tyle rozmyślań! na co tyle pisania! Oto — żeby skrzynie napełnić, żeby kredet zabrał i pożarł miliony nieszczęśliwych. Artysta wesoło opuszcza miasto; idzie oddychać z podniesionem czołem woniejące wyziewy wiosny, idzie błądzić wśrzód jaśniejących obrazów, ubarwionych żywemi promieńmi majowego słońca. Z głębi ciemnych krzewów spotyka wdzięczne zjawiska, wylęgłe w jego pomysłach, które doń nazawsze należą: bo w nim przebywa tajemniczy urok kształtów, kolorów i światła.

— Któż mi broni wyrwać się z tego ohydnego życia? Nie uznałżem dzisiay mego przeznaczenia, i czyż nie mogę z kolei sam zostać artystą?

Natychmiast rzucił się Traugott przezierać wszystkie swoje rysunki. Niektóre wydały mu się dobrze nakréślone. Nadewszystko uderzał go jeden *eskis* starego burmistrza i pięknego pazia, przed kilku laty zrobiony; rozpamiętywał sobie, jaki te figury zawsze dla niego miały pociąg, i przypomniał jak nie raz, dzieckiem jeszcze bę-

dąc, wkradał się do sali dla ich oglądania. Zastanawiając się nad tym rysunkiem Traugott, uczuł jakąś nieoznaczoną i boleśną żądzę; nie mógł przemódz na sobie, aby się wrócił do bióra; wyszedł z miasta na przyległą górę Karlsberg. Ztamtąd wzrok jego pływał po śpienioném morzu i natłoczonych gromadnie obłokach, które tysiące dziwacznych składały kształtów ponad Helą: było to jak czarodzieyskie źwierciadło, z którego usiłował wyczytać swą przyszłość.

Po długichto tylko i starannych usiłowaniach, obudza się w naszey piersi objawienie świata idealnego. Umysł artysty bije się bezustannie po morzu wątpliwości i niepewnych myśli. Widzi przed sobą nieskończoność, czuje niemoc jey dosiągnienia. Lecz wkrótce odkrywa w sobie boską odwagę; potyka się, walczy, sama nawet rozpacz dodaje mu siły do szukania lubego marzenia, które, choć coraz bliżey siebie postrzega, ucieka ono jednak ciągle od niego.

Taką to boleścią bez nadziei dotknięty był Traugott. Nazajutrz, kiedy spóyrzał na rozrzucone po stoliku przed sobą rysunki, wydały mu się nędzne i błahe. Osądził sam siebie na powrócenie do bióra; wziął się nanowo do pracy, odddalał nawet z myśli nieprzełamany wstręt, co go nie rąz zmuszał porzucić pióro dla odetchnienia świeżém powietrzem.

Przeszło już tym sposobem kilka tygodni, i zbliżał się czas ślubu Traugotta z Krystyną. Chwila ta miała położyć koniec wszystkim jego nadziejom i marzeniom; serce mu się ściskało, kiedy widział swą narzeczoną czynnie, ale ozięble, chodzącą około przygotowań godowych, tak jak-

by to szło tylko o jaki zwyczayny domowy interes. Codziennie chodził do sali; razu jednego usłyszał głos, tuż przy nim stojącey osoby i zadrżał. „Czyliż ten wexel w istocie, mówiono, tak mało waży?" Obrócił się żywo Traugott i postrzegł dziwnego starca, zajętego traktowaniem z jednym kupczykiem, o przedaż wexlu, którego cena tylko co się zniżyła. Piękny młodzieniec stał przy nim, czule i boleśnie poglądając na Traugotta. Zbliża się więc co prędzey do starca i mówi: — Wexel ten w rzeczy samey idzie nisko; ale według wszelkiego podobieństwa, kurs jego lada dzień podwyższy się. Radzę WPanu wstrzymać się z jego przedażą.

— Ależ! co WPana obchodzą moje interesa, odpowiedział starzec. Kto może wiedzieć, czy mnie w tym czasie wexel, czy gotówka potrzebnieysze? Urażony nieco Traugott tak niespodzianą odpowiedzią, zamyślał odeyśdź, kiedy go w tém błagające weyrzenie zroszonych oczu młodzieńca wstrzymało — Nic w mojey radzie nie było złego, dodał, chciałem tylko zapobiedz stracie. Przeday mi WPan wexel z warunkiem, iż mu za kilka dni zwrócę różnicę, między ceną teraźnieyszą a kursem, do jakiego niezawodnie się podniesie.

— Niech i tak będzie, odpowiedział starzec, chociaż w żaden sposób nie poymuję, co WPana zniewala do tego, że chcesz mnie zbogacić.

Kiedy to mówił, rzucił iskrzący wzrok na młodzieńca, który rumieniąc się spuścił piękne błękitne oczy. Potém poszli obay z Traugottem do kantoru Eliasa Roos, gdzie starzec zaliczone mu pieniądze przyjął z posępną miną. Wte-

dy młodzieniec pocichu rzekł do Traugotta: wszakżeś to ty rysował przed kilku tygodniami w sali Artura?

Skinieniem głowy potwierdził Traugott, nie mogąc ukryć wstydu, przypomniawszy na śmieszną rolę, jaką w tym dniu wygrywał.

— Ha! jeżeli tak, to teraz się nie dziwię twemu postępowaniu.

— Gniewnie spóyrzał starzec na swego towarzysza, a ten zamilkł. Traugott nie mógł przezwyciężyć jakieyś nieoznaczoney obawy, i pożegnał, nie śmiejąc żadnego zadać pytania. Jakoż w rzeczy samey zjawienie się tych dwóch osób miało cóś tak niezwyczaynego, że zastanowiło nawet obojętnych pracowników kantoru. Stary buchalter założył pióro za ucho i pilnie wpatrywał się w odchodzącego starca. — Strzeż nas Boże od wszego złego, zawołał, kiedy go już nie było; ale ten w czarnym płaszczu z fryzowaną brodą, podobny bardzo do dawnego obrazu z 1400 roku, co wisi w kościele ś. Jana — Co do P. Eliasa, ten z długiego wzrostu i gęstey brody wziął staruszka za polskiego żyda. A nie wiedząc o warunkach umowy, jaką miał z nim przyszły zięć jego, naśmiewał się, ile tylko mógł, z gapiowstwa ociężałego Izraelity, że przedawał wexel, którego kurs lada dzień naymniey o 10 od sta procentów miał się podwyższyć, co się tak i stało.

Wspominał mi móy syn, że WPan jesteś artystą, rzekł starzec, postrzegając Traugotta w sali, i dla tego tylko przystaję na to żądanie, inaczeybym się pewnie nie zgodził.

Właśnie w tey chwili, stali przy cztérech

granitowych kolumnach, wspierających kopułę budowy, nie opodal od tych dwóch figur, które Traugott odrysował był w liście kupieckim: śmiało zaczął młody negocyant upatrywać podobieństwo obu tych twarzy do starca i jego towarzysza.

Ze szczególnieyszym uśmiéchem spóyrzał starzec, i oparłszy się na ramieniu Traugotta, mówił pocichu: Niewieszże, iż jestem malarzem niemieckim Godofredus Berklinger, i że ten obraz, w którym teraz smakujesz, malowałem, dawno już temu, dawno, kiedym się jeszcze uczył mey sztuki? W tym burmistrzu chciałem wystawić sam siebie, a paź, co trzyma konia, jest moim synem, jak to już nawet sam poznałeś.

Struchlał na te słowa Traugott; pewnym był, że starzec, dotknięty monomanią chciał uchodzić za sztukmistrza, przed kilku wiekami zmarłego. — Był to, mówił daley starzec, podnosząc czoło i poglądając dumnie wokoło siebie; byłto wiek świetny, znamienity, kwitnący czas dla sztuki, kiedym zdobił tę salę w te różno-barwne figury, na cześć króla Artura i jego okrągłego stołu! Zdaje mi się nawet, że sam król Artur wszedł jednego razu, kiedym pracował i uczcił tytułem mistrza, którego mi jeszcze nie przyznawano.

— Móy oyciec, przerwał młodzieniec, jest artysta, jakich mało; warto, żebyś obeyrzał jego roboty. Starzec cofnął się o kilka kroków, dla lepszego weyrzenia się w malowidło; a kiedy przystąpił nazad, prosił go Traugott o dozwolenie widzenia obrazow. Spóyrzał starzec okiem badawczém i ozwał się tonem surowym: jest to

dosyć śmiałości, pragnąć wstępu do przybytku, nie rozpoznawszy wprzódy nauki; ale pozwalam ci. Jeśli wzrok twóy jeszcze za słaby, odgadniesz może, czego pojąć jeszcześ niezdolny. Przychodź jutrzeyszego poranku.

Nazajutrz więc Traugott uwolniwszy się co rychley od tego wszystkiego, coby go zatrzymywać mogło, pobiegł do wskazanego sobie mieszkania starca. Młodzieniec, przybrany dawnym obyczajem niemieckim, spotkał go u drzwi, i wprowadził do obszérnego pokoju, gdzie znalazł Berklingera, siedzącego na niskim stołeczku, przed ogromném szarém płótnem, próżném i czystém, rozpiętém na ramach.

— W sam czas przybywasz WPan, powiedział mu, kiedy ostatecznie dotykam ten wielki obraz; zaymuje on mnie już od roku i niemało kosztuje trudów. Odpowiedni jest drugiemu wielkiemu obrazowi, wystawującemu ray utracony, który przeszłego roku ukończyłem, będziesz go mógł obaczyć w mojey pracowni. Ten zaś, jak widzisz, wystawia ray odzyskany, pewny jestem, że odgadłeś tę allegoryą. Obrazy allegoryczne w ogólności są tylko udziałem dusz słabych i oschłych wyobraźni; obraz móy, jest móy własny, widzisz w nim działanie, nie fantazyą; życie, nie zaś oznakę czego; przypatrz się jak te grupy ludzi, źwierząt, kwiatów i skał zlewają się w jednę harmoniyną całość, którey doskonała i prawdziwie niebieska zgodność tworzy światło przedwieczne. Tu jął się starzec szczegółowie objaśniać rozmaite grupy, tajemnicze rozrządzenie cieniów i światła, połysk kwiatów i kruszców, rozkwitłe krzewy

róż i lilij, okrążające wkoło nieprzeyrzane rzędy dziewic, młodzieży i starszych, wszystkich w pełnym blasku siły i życia, wdzięku i piękności. Mowa starca nabierała coraz więcey energii, i coraz stawała się niezrozumialszą. — Dozwól jaśnieć, wykrzyknął nareszcie, twey złotey koronie, zrzuć zasłonę Izydy, którą okrywasz twe czoło — Lecz po cóż odwracasz te oczy? czegoż zbliżasz się do mnie z grożącém weyrzeniem? chceszże walczyć z twym mistrzem? Przybliż się więc! przybliż! uderz w tego, co cię stworzył, bo ja jestem........

Tu stłumił się głos starca, siły go opuściły. Traugott wstrzymał osłabionego na swych ręku i wspólnie z synem zanieśli na wygodne krzesło, gdzie zasnął głęboko.

— Teraz wiész, co się stało z moim oycem, mówił młodzieniec cichym i przytłumionym głosem; surowy los zatruł jego życie, od wielu już lat umarł dla sztuki, którey cały swóy wiek poświęcił. Godziny i dnie przepędza z wlepionym wzrokiem na to próżne i nietknięte płótno; nazywa to malowaniem. Widziałeś, w jaką exaltacyą rzuca go opisywanie tego obrazu, którego mniéma się bydź twórcą. Nieszczęsna przytém myśl, która go dręczy nieustannie, a mnie gotuje życie smutku i zgryzot, spycha nas razem w przepaść.... Ale dosyć tego. Chodźmy do drugiego pokoju, znaydziemy tam obrazy z lepszych czasow mojego oyca.

Jakież było podziwienie Traugotta, kiedy uyrzał długi szereg obrazow, któreby wziął za naycelnieyszych mistrzów szkoły flamandzkiey! Liczne sceny codziennego życia, jak myśliwi wra-

cający z polowania, włóczący się muzycy, konna jazda, jaśniały ogniem i kolorem, a nadewszystko twarze oddychały prawdziwym wyrazem życia. Już wracał Traugott do pierwszey sali, kiedy się razem zatrzymał przed jednym obrazem i stanął, jak wryty. Byłato młoda dziewczyna w dawnym germańskim ubiorze, zupełnie podobna do syna malarza; tylko że jey lice były kraśnieysze, i kibić smukleysza. Niewypowiedziany jakiś urok przykuł Traugotta na mieyscu, tak, że nie mógł oderwać się od prześlicznego portretu, sposobem Van-Dycka dotkniętego.

— O Boże! zawołał Traugott z przeciągłém westchnieniem, to ona, jey to rysy oddawna noszę w mém sercu! gdzież ją szukać mam?

Na te słowa oczy młodego Berklingera zalały się łzami. Chodź, mówił wstrzymując się od żalu, ten portret jest mojey siostry Karoliny. Straciliśmy ją nazawsze. Nigdy już jey nie uyrzysz.

Mimowolnie Traugott dał się wyprowadzić do pierwszego pokoju. Starzec spał jeszcze; ale przecknął się nagle i postrzegając Traugotta krzyknął zagniewany: — Po co tu WPan przychodzisz? Przybliżył się wtedy młodzieniec i przypomniał mu, że tylko co Traugottowi pokazywał swóy obraz.

— Nowy wasz obraz, mistrzu Berklingerze, rzekł Traugott, jest przecudny, i nigdym podobnego nie widział. Ileż to trzeba nauki i pracy, nim się dóydzie do tego stopnia!

Uspokoił się starzec. Uścisnął Traugotta i przyrzekł bydź jego nauczycielem.

— Codziennie chodząc do starego malarza, Traugott postąpił znacznie: co zaś do interesów, do tyla je orzucił, że P. Elias Roos, cieszył się nawet z odroczenia ślubu Traugotta na poźnieyszy czas, pod pozorem słabości zdrowia. Gdybym nie miał w obrocie jego stu pięćdziesięciu tysięcy talarów, rzekł stary negocyant jednemu z przyjaciół, potrafiłbym ja zażyć tego panicza.

Gdyby nie miłość Karoliny, którey głosu nie mógł w swém sercu zagłuszyć, pogodnieby upływały dni życia Traugotta. Znikł portret. Ukrył go starzec, a Traugott nie śmiał nawet o tém mówić. Wreszcie stary Berklinger codzień w nim więcey pokładał zaufania, i przystał na zapłatę dawanych lekcyy. Dowiedział się od młodzieńca Traugott, że przedany przez oyca wexel był ich ostatnim zapasem i resztą majątku, ale nic więcey wybadać nie mógł, tak czuynie ich stary malarz postrzegał, a za każdym razem surowo wyprawiał syna, kiedy ten z młodym negocyantem rozmawiał.

Przeszła już zima, nowa wiosna zieleniła gaje i łąki. Jednego razu Traugott cały dzień przesiedział w biórze, ledwo poźno wieczorem wyrwał się do Berklingera. Wchodząc do sieni, usłyszał dźwięk lutni w przyległym pokoju. Podsłuchał.— Przerywany śpiew ułatał w akordach, jakby lekkie westchnienia. Otwiera drzwi. Siedziała dziewczyna w dawnym ubiorze zupełnie, jak na portrecie widział. Za otwarciem drzwi, położyła lutnię na stole i wstała.

Była to ona!

— Karolino! krzyknął w zachwyceniu Traugott i padł na kolana przed tém prawdziwie

niebieskiém zjawiskiem. Kiedy go w tém ktoś silnie ująwszy za ramie odepchnął.

Nędzniku! zawołał stary Berklinger, i toż-to było powodem twego sztuk zamiłowania! Czyhałeś na moje życie! Błysnął nóż w ręku starca. Traugott ratował się ucieczką, pełen szczęścia i trwogi.

Z naywiększą niecierpliwością czekał dnia, żeby tylko wykryć jakkolwiekby go to kosztowało, tajemnicę domu Berklingera. Pobiegł. Znalazł wszystkie drzwi otwarte. Malarz z synem wynieśli się w nocy niewiadomo dokąd. Parokonny pojazd zabrał sprzęty, obrazy i szczupłą Berklingera ruchomość. Wszystkie śledzenia Traugotta były daremne. Zaczął rozpaczać. Nic już nie widział w przyszłości; skazał się znów dobrowolnie na nudną pracę, którą był porzucił. Czas jakiś już ciągle pracował Traugott w biórze, i dzień wesela z Krystyną niezmiennie oznaczony. Nad wieczór, poszedł jak za zwyczay do sali, przypatrywał się raz jeszcze burmistrzowi i paziowi, co mu tyle przywodzili wspomnień, kiedy niespodzianie spotkał wzrok kupca, któremu malarz chciał był przedać swóy wexel. Zbliżył się do niego i zapytał, czyliby nie znał tego starca z długą brodą...

— I któżby tego starego fixata nie znał? odpowiedział kupiec. Jestto malarz Gottfryd Berklinger.

— Nie wieszże gdzie teraz mieszka?

— Wiem: żyje teraz cichutko z córką w Sorrento.

— Ze swoją córką, Karoliną! wrzasnął Trau-

gott, tak głośno, że wszyscy obrócili się negocyanci.

— Tak, naypewniey, mówił daley kupiec, oto ten sam chłopiec, którego ma zawsze przy sobie. Cały Gdańsk, jak w bęben bije, że to dziewczyna, a temu fixatowi ciągle roiło się, że tego nikt nie wie. Powiadają, iż mu przepowiedziano, że pierwsza miłość jego córki, będzie go życiem kosztować, szuka więc wszelkiemi sposobami, kryć ją przed ludźmi.

— W Sorrento, zawołał Traugott bez przytomności, i wybiegł z sali równemi nogami. Nazajutrz już opuścił Gdańsk, parę rączych koni wiozło go do Włoch.

Za wstąpieniem na ziemię włoską, tę oyczyznę sztuk pięknych, Traugott nowego życia nabrał. Niemieccy artyści w Rzymie przyjęli go do swego koła; bawił w ich gronie dłużey, niżby mu dozwalała gorąca żądza, dla którey do Włoch przyjechał; żądza ta, złagodzona rozwagą, zamieniła się w ciągłe marzenie, całe jego życie ogarniające. Oblicze Karoliny jaśniało zawsze w jego obrazach, powtarzane ciągle zachwycające jey rysy zajęły Rzym cały, a szczególniey malarzów, którzy tysiączne zadawali Traugottowi zapytania. Pewnego razu jeden z nich nazwiskiem Matuszewski, powiada mu, że postrzegł w mieście młodą dziewczynę, nieustanny przedmiot jego obrazów. Łatwo sobie wystawić radość Traugotta. Poszukiwania poszły szczęśliwie, odkryli niebawem mieszkanie jey oyca, który istotnie był ubogim malarzem, zdobił wtedy kościół *Trinità-del-Monte*. Zaraz Traugott pobiegł do kościoła, dla naocznego przekonania się, i zda-

wało mu się, że postrzegł starego Berklingera, na nieźmiernie wysokiém siedzącego rusztowaniu. Ztamtąd pobiegli już we dwóch do mieszkania, gdzie postrzegli zdaleka na balkonie młodą dziewczynę. To ona, zawołał Traugott wpadając do pokoju. Dziewczyna cofnęła się przelękniona. Zmieszał się Traugott, a Matuszewski opowiedział całe nieporozumienie. Stała ona w powabném ułożeniu ze spuszczonémi oczami, zapłoniona; a Traugott, co miał natychmiast wychodzić, zaczął ciekawie wpatrywać się. Doryna weyrzała z uśmiéchem. Powrócił jey oyciec, wtedy Traugott, poznał, ile go wysokość rusztowania omyliła. Zamiast czerstwego Berklingera, widział przed sobą człowieka niskiey urody, bladego, wynędzniałego, bojaźliwego, przywalonego nędzą. Wszczęła się rozmowa, Traugott ją przedłużał. Doryna, w dziecinney prostocie, wykryła się ze skłonnością ku młodemu malarzowi, który wkrótce całkowite dni trawił w pracowni ubogiego malarza włoskiego. Próżnobyśmy usiłowali opisać walkę, jakiey doznawał Traugott w sercu podwóynie napełnioném tymże samym obrazem; nakoniec wyrwał się z Rzymu, i pośpieszył do Sorrento.

Cały rok upłynął na próżnych poszukiwaniach. Otrzymał w Neapolu listy z oyczyzny. Oznaymował mu P. Elias Roos, iż gdy czas spółki wyszedł, bytność jego była nieodbicie potrzebną, dla urządzenia wzajemnych interesów. Wrócił Traugott nayprostszą drogą do Gdańska. — Poszedł znowu jednego razu do sali Artura i stał przy granitowey kolumnie, naprzeciw burmistrza i pazia, którzy zdawali się nań poglądać

z uśmiechem i jakby wymawiać długą nieobecność.

— Jeżeli się nie mylę, widzę WPana zdrowego i uleczonego z melancholii? Tak mówił dobrze znajomy Traugottowi kupiec.

— Nie znalazłem! odpowiedział Traugott z westchnieniem.

— Kogoż WPan nie znalazłeś? zapytał kupiec.

— Malarza Godofreda Berklingera, i jego córki Karoliny. Szukałem po całych Włoszech: w Neapolu i w Sorrento nikt ich nie zna.

Kupiec spóyrzał nań z podziwieniem— I gdzieżeś WPan szukał malarza z córką? we Włoszech? w Neapolu? w Sorrento?

— A tak! odpowiedział Traugott z przekąsem.

— Ah! dla Boga! cóżeś to zrobił, Panie Traunott? zawołał kupiec, klasnąwszy w dłonie: czyż nie wiesz, że Aloisius Brandsteter, nasz dostoygy senator i dziekan ławników, letnie swoje mieszkanie, położone w sosnowym borku, u stop góry Karlsberg, nazwał Sorrento? Onto przyjął Berklingera, którego tak ceni obrazy. Oddawna już tam mieszka z córką, trzeba było tylko weyść na górę, a zobaczyłbyś Pannę Karolinę, przechadzającą się po ogrodzie, w pięknym gotyckim stroju. Pocóż było hasać do Włoch! Co zaś do starego malarza, to smutna historya.

— Ah! dokończ, dokończ, zawołał Traugott przytłumionym głosem.

— Młody Brandsteter powrócił z Anglii, mówił daley kupiec, postrzegł Pannę Karolinę i zakochał się. Dopilnował czasu, kiedy była w ogrodzie, padł przed nią na kolana, zaprzysiągł

jey swą miłość, i uwolnienie z niewoli, w jakiey ciągle dotąd przebywała u oyca. Podsłuchał niewidziany stary malarz całą rozmowę, i w chwili, kiedy Karolina przystawała na wszystko, krzyknąwszy przeraźliwie upadł nieżywy. Pękła żyła, cały już był sczerniały kiedy go podjęto. Odtąd Karolina znienawidziała Brandstetera, a oddała swą rękę radzcy Mateziuszowi. Mieszkają w Marienwerder, możesz teraz odwiedzić; to nie tak daleko jak do Sorrento.

Nie słyszał już go więcey Traugott; śmiał się i płakał razem; wyszedł w takim stanie za miasto, i udał się jak niegdyś na Karlsberg. Nie wiadomo, jak długo tam przebywał, lecz już go odtąd nie widziano w Gdańsku.

Powiadają, że jakiś malarz niemiecki, nazwiskiem Traugott, wsławił się we Włoszech. Pokazują dzisiay jeszcze w pałacu Pitti obraz, w którym odmalował siebie między dwiema, zupełnie z sobą podobnemi kobiétami. Młódsza czule do niego się uśmiécha. *J. K.*

POEZYA.

Wiersze *Franciszka* Rysińskiego.

Do Anety na niespodziewane rozstanie się.

Nierówną sobie płacim monetą
Miłość tę, która miała bydź wieczna;
Ty się z łez moich śmiejesz Aneto,
Ja na to płaczę, żeś niestateczna.

Już dla mnie wszystko oddycha smutkiem,
Płaczę i na to żeś mię kochała,

Truję się własnych nadziei skutkiem ;
　　Jednak ci nie śmiem rzec : żeś niestała.

Ani cię będę wspomnieniem nudził
　　Przeszłych twych względów, któreś świadczyła;
Możem się próżnym cieniem łask łudził ;
　　Może to grzeczność , nie miłość była !

Ach jakbym drogo płacił te leki ,
　　Któreby mogły pokóy móy wrócić !
Bo gdy już jestem łask twych daleki ,
　　Chciałbym ; lecz trudno stąd się nie smucić.

Twóy wielki rozum , twe dobre serce ,
　　Twa rzadka skromność , wspaniałość duszy ;
Sąto sprzysięgli moi morderce ,
　　Których moc zbyt mię całego suszy.

Próżno zapomnieć ciebie stanowię ,
　　Miłość mną rządząc serce me gnębi ;
Co łzami stłumię , to łzą odnowię ,
　　Łzą pochodzącą z tęsknoty głębi.

Na każdą wzmiankę twego imienia ,
　　Coś mi strwożone serce zachwieje ;
Żal łzy dobywa , choć wstyd namienia :
　　Że dla niewdzięczney łzy moje leję.

Lecz trudno prawa na serce wkładać ,
　　Choć rozum widzi, że serce błądzi,
Próżno więc chcę dziś mądrze mną władać ;
　　Słaby tam rozum , gdzie miłość rządzi.

On czasem przykrość , dobrem oznaczy ,
　　I tém się mamiąc gorycz swą słodzi ;

On samę wzgardę bierze inaczey,
Niżli mu jasna prawda tłumaczy.

Więc ni twa wzgarda, Aneto droga,
Potrafi moje chęci ukrócić;
Bo to jest, przez co miłość zbyt sroga:
Że wzgardzicielkę trudno porzucić!

Trudno! — Lecz że cię kocham bez miary,
Patrz, jak mi miło uledz twey woli:
Oto w znak czystey ze mnie ofiary,
Klnę się, że mię twa zmienność mniey boli.

Ani ci życzę byś doznać miała
Skutków nieznośney w kochaniu wzgardy,
Choćbyś stąd pewnie sądzić umiała:
O moim losie, jak on zbyt twardy!

Owszem, bez zgryzot pędź wiek radośny,
Niech ci się szczęście nawija tłumem;
Może też i ja żal móy nieznośny
Przecierpię z czasem, wsparty rozumem.

Prośba do Anety o przyśpieszenie dekretu na dawne zasługi.

Droga Aneto, już czas się zbliża
Wyroku twojey wzgardy lub względu,
Niewartość moja zbyt mię uniża,
Stawiąc pomiędzy rywalów rzędu,
Na których wdzięki kiedy poglądam,
Wątpię o względach tych, których żądam.

Ten piękny z twarzy, wzrostem wspaniały,
Na wielkim świecie zdawna ćwiczony;
Grzeczny w zabawie, wstępny i śmiały,
Tłumem miłostek przeszłych śpieszczony.
Z gustem się stroi, wycmukły, składny,
Świat mu wykrzyka: ach jakże ładny!

Drugi skromności wdziękiem przywdziany,
Kształtney postaci, rzadkiey urody;
Niby Adonis, biały, rumiany,
Bogaty, grzeczny, rzeźwy i młody;
Piérwszemu ledwo nie zrówna w chwale.
Oto są szczęścia mego rywale.

A ja schylony wiekiem i trudem,
Z skępstwa natury w kształcie skrzywdzony,
Na twarzy śniadym pokryty brudem,
Slepą miłością tylko pędzony,
Nie chcąc rywalom mym cofnąć kroku,
Czekam od pani dla mnie wyroku.

Pani! kiedyś mię lubiła może;
To mych nadziei naymniey nie wśpiéra.
Wczoraysze przeszło, dziś nie pomoże.
Miłość się nigdy wstecz nie oziéra,
Kocha lub gardzi, a w tey kolei,
Po przeszłém szczęściu, nie masz nadziei!

Znam, żeś na każde łzy nader tkliwa,
Lecz na me niedbay zgryzoty, proszę.
Słuchay rad serca i bądź szczęśliwa;
Niech ja wiek, ciężar mey wzgardy noszę.
Ja łzy me stłumię, trosk skryję sekret,
A ty jak czujesz, tak i pisz dekret.

Sen strapionego męża po utracie naylepszey żony.

Raz smutnym myślom popuściwszy wodze,
Szedłem bez celu i z czasem stanąłem
Przy nieznajomey mnie samemu drodze,
Gdzie mnóstwem zgryzot znużony, usnąłem.

Duch móy ściśniony, bydź swobodnym zdał się,
Smutek serdeczny we śnie utopiony,
Nie dręcząc serca, lekkim dla mnie stał się,
I nic nie czułem słodkim snem uśpiony.

Wtém, czyto niebios przychylne zdarzenie,
Którém radośnie byłem przerażony,
Czy z częstych myśli pochlebne marzenie,
Obraz naymilszey stawiły mi żony.

Czystym obłokiem obleczona wkoło,
Na którym jakby miała wsparte plece;
Świetna zasłona okrywała czoło,
Gdy zniżała się na wiatrów opiece.

Oczy jey dziwną jasnością pałały,
Których blask świetném przenikał wrażeniem,
Promień zastępów Pana wieczney chwały,
Błyskał za każdém jey na mnie spóyrzeniem.

Roskoszą cnoty twarz wypogodzoną,
Nadnaturalny wdzięk zdał się okraszać;
W skromney postaci, z dobrocią wrodzoną,
Tuż ponad ziemią zdała się unaszać.

Chciałem się do nóg jey rzucić z pośpiechem,
(Bo któż w radości wszystko czyni bacznie ?)

Lecz ona miłym znak dawszy uśmiechem,
Krok móy wstrzymuje, i tak mówić zacznie:

„Z górney krainy, dla twojey przestrogi,
Przyyść na ten padoł, mam czas pozwolony,
Pomniąc na zakład oboyga nam drogi,
Chcę twóy ukoić żal nieutulony,
Którym zapewne córkę osierocisz,
A mnie nie zwrocisz!

Czas pofolgować twemu udręczeniu;
To, co się stało, rozstać się nie może,
Ulegay raczey twemu przeznaczeniu,
Którém władają skryte sądy boże,
I nieskażona woli jego prawość,
Moc i łaskawość.

Ty, płacząc krótkość naszego pożycia,
Trwasz już aż nadto w żałośnym uporze,
Lecz wziąwszy miarę z dni naszych użycia,
Poznasz, że żyjąc dość umarłam w porze.
Czas szczęścia schodzi nagle, a czas w biédzie,
Zbyt wolno idzie!

Więc gdy dni szczęścia bieg jest nader spory,
Bo gdzież na ziemi ono długo trwało?
Gdy cię doścignął moment smutney pory,
A pasmo szczęścia nagle się przerwało;
Oddayże więc hołd Przedwiecznego woli,
A cierp, choć boli.

Dochowałam ci wierność nieskażoną,
Miłość nayczystsza dni nasze składała,

Byłam szczęśliwą z miłym mężem żoną,
I żebyś przeżył mię, zawszem żądała;
Bóg to uiścił, więc mam prawo wnosić,
Iż żyłam dosyć.

Z resztą, któż zbadał boskich tayni sekret,
A nuż Bóg karząc, nad tobą się żalił,
Gdy dla nas tróyga piszące śmierci dekret,
Mnie jedney zgonem, was dwoje ocalił;
Dając czas tobie wymiarem szczodroty.
Żyy dla sieroty.

Otrzyy więc czułą łzą źlane powieki,
I chętnie trudom poświęć dni ostatki,
Na domierzenie troskliwey opieki,
Dla córki, w stopniu i oyca i matki.
Wszczepiay w nię cnoty, a wytępiay ślady
Bądź jakiey wady.

Co do mnie, będę przed naywyższym tronem
Błagać o waszę szczęśliwość doczesną;
Ja przed nim będę pokornym patronem,
Żeby nie źbierał was śmiercią zbyt wczesną,
I nie zostawił córki samę jedną
Sierotą biedną!

O mnie się nie troszcz: bo szczęście prawdziwe
Posiadam wiecznie w tey krainie świętey,
Gdzie i ty wkrótce, kończąc dni sędziwe,
Uyrzysz mię w chwale, ludziom niepojętey,
Kędy z radością powracam skwapliwie.
Żyycie szczęśliwie!"

Wtém siła jakaś podniosła ją w górę,
A ona z twarzą odwróconą do mnie,
Patrzała względem, nim się skryła w chmurę,
Reszty nie mogłem rozważyć przytomnie.
Bo słabe ludzkie nie sięgną źrzenice,
Za zakréślone śmiertelnym granice!

Wiersz w dzień urodzin Anny.

Strząsnął czas płynny dni klapsydrą złotą,
I już piętnaście lat pani domierzył,
Rozum ją zdobił połączony z cnotą,
A wdzięk swe dary po jey twarzy szerzył.
Szły dni za dniami, w których trud zdolnością,
Kształcił jey duszę cnotą i mądrością.

Dziewiąty maja, o śliczna dziewico!
Jest to szesnastym wieku twego rokiem,
W nim niech ci skaże Bóg własną prawicą,
Męża przedwiecznym danego wyrokiem.
Niech twe talenta z rzadkim wdzięków darem,
Będą mu godzin szczęśliwych wymiarem.

On zaś niech będzie młody jak kwiat wiosną.
I tak me szczére chęci tobie wróżą,
Że mu na brodzie włosy ledwo rosną,
A skromność teraz lice krasi różą.
W nim stałość, rozum, bogactwa, urodę
Zmieściła Temis, cnotom twym w nagrodę.

Więc gdy ci los da to, com już powiedział,
I sworne cnoty ślubnyć włożą wieniec,

I gdy już będzie u prawicy siedział
Wart twoich wdzięków zacny oblubieniec;
Strach, żeby w sercu mém zazdrość, ta źmieja,
Słów tych nie rzekła: ach czemuż to nie ja! *a*

B A Y K A.

Świerszcz i Motyl. (*z Floryana.*)

Biédny świerszczyk siedząc w trawie,
W skromney, układney postawie;
Uyrzał motyla na łące.
Co za kolory błyszczące!

---

a Ogłaszając ninieyszy zbiór wierszów Franciszka Rysińskiego, winienem oświadczyć podziękowanie JW. Hrabi Adamowi Platerowi b. Marszałkowi powiatu dynaburskiego, tudzież WJP. Szczepanowi Szczotkowskiemu b. Chorążemu powiatu rzeżyckiego, za ich gorliwą staranność, jaką okazali w troskliwém wyszukaniu płodów znakomitego talentu, swojego ziomka. Oby ich przykład stał się pobudką dla innych w dokonaniu tak pożyteczney przysługi dla publiczności, a razem chwalebney dla uwiecznienia pamiątki męża, który nie już samą obywatelską, ale i naukową zasługą, rzetelny zaszczyt ziomkom swoim przynosi. Co gdy nastąpi, chętnie przyymę na siebie obowiązek wydania zupełnego zbioru wierszy Franciszka Rysińskiego, łącznie z krótką wiadomością o jego życiu, oświadczając razem mą wdzięczność tym osobom, które mi teraz na ten cel udzielą jego rękopismów, bądź w oryginale, bądź w kopii posiadanych.

X. Antoni Korniłowicz Prefekt szkoły Dynaburgsko-Krasławskiey.

Szkarłatem, złotem upstrzony!
Lekkie skrzydełka nakształt zéfiru,
I z topazu i z szafiru,
A naokoło, jakby umyślnie galony!...
Zalotniczek piękny, młody,
Którego jest żywiołem sam tylko niestatek,
Używa sobie swobody,
Rzucając i chwytając naypięknieyszy kwiatek!..:
« Ach, westchnął świerszczyk, cóż to za różnica
Między nami ma zachodzić?
Przysięgam! Prędzey już można pogodzić
Z chłopem szlachcica,
Albo wróbla z gilem,
Niżli mnie z motylem!
Pani Natura jemu wszystko dała,
A zaś o mnie zapomniała.
Nié mam żadnych talentów, mniey jeszcze figury,
Ni na mnie w trawie spóyrzeć raczy który.
Nié mam, co me serce łechce!
Słowem, los wszystko użycza,
Dla tego panicza,
A o mnie pomyślić nie chce! » —
Tylko co skończył: aż tu chłopców tłuszcza,
Chmurą się na motyla zpoza krzaków puszcza.
Oskoczyli panicza, jak złoczyńcę wkoło,
I natarli chustkami, czapkami i połą.
Ten za skrzydła, ten za różki,
Ten za brzuszek, ten za nóżki,
A ten ująwszy w połowę,
Urwał mu rogatą głowę!

« Otoż to, czegom nierozważnie żądał ! . : :
Rzekł świerszcz, co na to poglądał,
Pięknieś wyszedł, motylu, na farbowném skrzydle,
Jak ów Zabłocki na mydle !
Kiedy tak ; dosyć ze mnie : dziękuję Naturo,
Żeś mi nie dozwoliła unosić się górą !
Chcemy bydź szczęśliwymi ; nie wpadaymy w oko ;
Zawsze ten nisko siada, kto lata wysoko. » —

C. L.

Kościoł Temidy.

Do E... P...

W kwitnącey świata postaci,
Temida węzły świętemi
Jednocząc śmiertelnych braci,
Wzniosła swóy kościoł na ziemi.

Tam cnota z nieba zesłana,
Zasiadła tron w majestacie:
Koło niey córa kochana,
Niewinność, w bieluchney szacie.

Tam miała ołtarz swóy Zgoda,
Tuż Pokoy w wieńcu oliwy;
Droga serc czystych nagroda,
Przyjaźń, dar niebios życzliwy.

Daley i Dobroć łagodna,
I niemuszona Prostota,
I matki swey nieodrodna
Słodka, potulna Szczerota.

W tey to poważney świątyni,
Przyymując hołdy swych dziatek,
Spełniała rządy bogini
I cała błogość, dostatek.

Poźniey świat się przeobraził:
Skamieniało ludzkie plemię;
A gdy ołtarze jey skaził,
Temis opuściła ziemię.

Nie chciała jeszcze nazawsze
Zapomnieć kochanych dzieci:
I oko swoje łaskawsze
Często spuszczała na kmieci.

Wtém na miłe wiosny tchnienia
Dziecina odbiera życie:
Zgodne siostr dziewięciu brzmienia
Jey ogłosiły przybycie.

Podniosła oczy weselne
Temis, na odgłos ich liry:
—Cieszcie się ludy śmiertelne!
Kościoł móy w sercu Elwiry.—